Nr. 20. Lwów, 15. października 1901. Rok XXIV.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Wyprawa myśliwska
Hr. JÓZEFA POTOCKIEGO
do Sudanu.

(Dalszy ciąg).

Następnego ranka (22 lutego) o świcie opuściliśmy Abkuk, kierując się do Dissy, ostatniego etapu naszej wyprawy. Po drodze zauważyć mogliśmy, że roślinność staje się coraz bogatszą, spotyka się drzewa coraz większe, wachlarzowa palma rośnie coraz gęściej. Klimat też tu nieco wilgotniejszy, gdyż rankami zauważyliśmy nawet rosę, czego dotychczas ani razu nie obserwowaliśmy. Miejscami droga prowadziła wśród tak wysokiej trawy, że się w niej jeździec wraz z koniem krył zupełnie.

Jechaliśmy w części gęstą dżunglą, a w części łąkami, stanowiącemi niewątpliwie dawne koryto Nilu, aż wreszcie po dwugodzinnym dość szybkim marszu wydostaliśmy się na obszerną równinę, pokrytą od brzegów zeschłą, żółtą trawą, a pośrodku zajętą przez spore jeziorko, zarośnięte w znacznym stopniu, po brzegach którego pasły się wielkie stada bydła z rodzaju zebu (z garbem na grzbiecie), tak rozpowszechnionego w Sudanie. Stada czapel, ibisów, dzikich gęsi i kaczek kręciły się po trawach, zarastających jeziorko.

Obóz rozbiliśmy nad brzegiem Nilu, w niewielkiej odległości od osady Dissy, złożonej z kilkunastu szałasów. Olbrzymi sykomor, rosnący nad brzegiem, użyczył nam gościnnego cienia. Z jednej strony drzewa rozbito namiot i ustawiono nasze stoliki; po drugiej Bohos rozłożył swą kuchnię, a obok niego rozmieściła się nasza służba kairska. Nadciągnęli Arabowie disseńscy wraz ze swemi kobietami, które nam mleka krowiego przyniosły w podarku. Gdy jednak Szaja zapytał, czy

nie sprzedadzą nam cielaka, zażądano za niego 4 funty szt. czyli 40 rubli.

Dziwni bo to ludzie, ci Arabowie nad Nilem Niebieskim. Sami mięsa wołowego nigdy nie jedzą, ani też bydła swego nie sprzedają, a jednak hodują je w dużej ilości, bo w samej Dissie ze 300 sztuk liczyć można. Podatek rządowy jest bardzo znaczny, wynosi bowiem 30 piastrów egipskich (około 3 rubli) od sztuki rocznie*). Jedyną korzyść, jaką ci ludzie mają ze swego bydła jest mleko, którego w części używają w stanie naturalnym, a w części na sery przerabiają. Bydło więc rogate jest dla nich bogactwem, z którego prawie żadnych korzyści nie ciągną, a które im tylko kosztów przysparza. Od miejscowych ludzi zasięgnęliśmy też języka co do okolicznej zwierzyny. Według nich słonie przychodziły w ostatnich czasach prawie codziennie do jeziora od strony południowo-zachodniej. Wiadomość ta robiła nam nadzieję, że wreszcie będziemy mogli zapolować na tę królewską zwierzynę. Natomiast o bawołach nie było słychać wcale. Wreszcie Arabowie zakomunikowali nam, że dwa lwy włóczą się po okolicy. Była to niewątpliwie ta sama para, którą hrabia spotkał w Abkuku. Na mniejszą zwierzynę nie można było polować na razie, aby strzałami nie płoszyć słoni, które w sąsiedztwie mogły się przypuszczalnie wałęsać.

W widokach tego ja zostałem w obozie, a tylko hrabia poszedł w towarzystwie disseńskiego Mohameda na rekonesansową wycieczkę, shikarich zaś swoich posłał dla zrobienia zeriby po drugiej stronie jeziorka, pod ścianą dżunglową. Strzelałem więc tylko dnia tego ptaszki do kolekcyi, z mej małokalibrowej broni, która mało huku robiła, a następnie zająłem się ich preparowaniem.

W robocie tej przeszkadzały mi bardzo rany, jakie mi się potworzyły na palcach obu rąk. Były to niewątpliwie tak zwane „wrzody nilowe“. Należy tu objaśnić czytelników, że woda w Nilu Błękitnym, jakkolwiek bardzo smaczna i zdrowa do picia, zawiera jakieś bakterye, które dostawszy się do krwi, powodują jątrzące się i bolesne wrzody. Hrabia padł pierwszy ofiarą tej choroby, po wykąpaniu się w Senaarze, w podróżnej wannie. Porobiły mu się wtedy na dłoniach i na obu przedramionach spore i zaognione wrzody, które jednak pod wpływem kilkakrotnych smarowań fenolem Boboeuf'a szybko ustąpiły. Mnie wówczas dolegliwość ta ominęła; lecz gdym następnie przy chodzeniu po dżungli pokaleczył sobie palce kolcami, wszystkie ranki zaczęły się jątrzyć i skóra poczęła obłazić, jak przy zwykłem obieraniu. Najgorzej jednak wyglądała rana na wierzchu nosa, którą sobie zrobiłem, strzelając w zeribie do pantery z 10 kalibru. Utworzył się ogromny strup, zajmujący prawie połowę nosa; z pod strupa sączyła się ciągle materya lub woda. Mimo wielokrotnych smarowań fenolem, rana nie goiła się i ustąpiła dopiero na dzień przed przybyciem do Chartumu, a ślady jej noszę po dzień dzisiejszy. Dodam jeszcze, że rana ta podczas marszów na skwarze słonecznym silnie nabierała materyą i dotkliwie czuć mi się dawała.

A skwar to był nielada, bo w dniu, o którym mowa (22 lutego), doszedł w cieniu do + 32° R. Jest to najwyższa temperatura, jaką w czasie naszej wyprawy obserwowaliśmy.

Hrabia wrócił z wycieczki zachwycony roślinnością okolic jeziorka, lecz zły na Mohameda, który straciwszy kierunek drogi, błądził przez parę godzin po wysokich trawach, nie mogąc trafić na obóz. Jedynym rezultatem tej wycieczki był wspaniały okaz orła białogłowego (*Haliaëtus vocifer*), którego hrabia zabił dla naszej kolekcyi.

Już przedtem spotykaliśmy wspaniałego tego orła po brzegach Nilu, na piaszczystych mieliznach, lub na czubkach drzew wysokich. Nigdzie jednak nie widzieliśmy go w takiej obfitości, jak nad brzegami jeziorka Disseńskiego. Biała jak śnieg głowa jego i pierś lśni się na słońcu zdaleka. Co paręset kroków można tam było spotkać parę lub pojedyncze sztuki tego orła, a były tak dowierzające, że je łatwo było zejść na strzał dogodny. Przypuszczam, że ściąga je tu obfitość ryb, które stanowią główne pożywienie orła wrzaskliwego.

Nad wieczorem hrabia poszedł do zeriby, ja zaś pozostałem w obozie. Noc zeszła spokojnie, a gdy nad ranem powrócił hrabia, dowiedzieliśmy się, że dwa lwy włóczyły się w bliskości zeriby, lecz do przynęty nie podeszły, a tylko rykiem zwiastowały swą obecność. Słonie, nocy tej, jeziorka nie odwiedziły.

Dzień 23 lutego zeszedł mi na strzelaniu ptaszków do kolekcyi, a następnie na preparowaniu. Hrabia zrobił wycieczkę w okolicę, nie spotkał jednak grubego zwierza, a nie chciał ryzykować strzałów do mniejszych antylop, aby alarmu w okolicy nie spowodować. Nad wieczorem poszedł znów do zeriby, lecz tym razem wziął ze sobą źrebaka osiołka w nadziei, że będzie to dla lwa lepszą przynętą. Gdy służący Ahmed, który hrabiego odprowadzał do zeriby, wrócił, opowiedział nam, że słyszał ryk lwa w okolicach jeziorka.

Co do słoni postanowionem zostało, że gdy w nocy przyjdą do wodopoju, jutro skoro świt pójdziemy ich tropami. Wprawdzie miejscowi Arabowie proponowali nam podchodzenie tych kolosów w nocy, przy wodzie, ecz hrabia nie chciał się zgodzić na ten rodzaj polowania, jako przedstawiający najwyższe niebezpieczeństwo. Powalić słonia na miejscu, przy słabem świetle księżyca, w pierwszej kwadrze jest rzeczą hazardu, a raniony słoń zwykle szarżuje i wtedy śmierć niechybna czeka nierozważnego myśliwca.

Prawidłowe polowanie na słonia polega na śledzeniu go po tropach, gdy nocą do wodopoju przychodzi. Słonie przychodzą do wody w różnych porach nocy, zabawią przy niej godzinę lub dwie, a następnie odchodzą w głąb dżungli. Każdy słoń, czy każde stado odwiedza wodopój co drugą noc. Napiwszy się i poigrawszy dowolnie, kolosy te odchodzą, żerując w pierwszej godzinie, a następnie szybszem tempem posuwają się w głąb dżungli, aż do godziny 10-tej lub 11-tej, kiedy skwarne promienie słońca zmuszają je do wypoczynku. Wówczas stają w cieniu jakiego większego drzewa i spokojnie drzymią, oganiając się od much swemi olbrzymiemi uszami. Jest to chwila, kiedy myśliwy może je dogonić.

---

*) Podatek od wielbłąda wynosi na nasze pieniądze 7 rubli, od barana lub kozy 1 rubel rocznie.

Wyruszyć można po tropach dopiero, gdy dobrze rozednieje, gdyż inaczej niepodobna jest rozpoznać, czy tropy są świeże lub nie. Tym sposobem słonie mają zawsze kilka godzin awansu; a ponieważ posuwają się naprzód względnie dość szybko, więcby ich niepodobna było dogonić w ciągu jednego dnia, gdyby nie ten kilkogodzinny postój, który gwoli odpoczynkowi robią.

Cała trudność polega na trzymaniu się dobrego tropu i tu właśnie wykazuje się niepospolita sztuka sudańskich i w ogóle środkowo-afrykańskich shikarich. Wspomniałem już poprzednio, że w stronach, gdzie się słonie trzymają, dżungla jest poprzerzynana we wszystkich kierunkach ich ścieżkami, które na każdym kroku krzyżują się, rozwidlają i jedne w drugich giną. Mamy tu więc tropy z poprzedniej nocy, z dwóch dni, z trzech i t. d. Rozróżnić zaś tropy świeże na suchym pyle, lub na zeschłych trawach, jest sztuką nielada. Pozostawiony od czasu do czasu pomiot lub porzucone tu i owdzie gałązki drzew są dla łowca wskazówkami doskonałemi, lecz właściwie jest to tylko rodzaj kontroli, czy tropu nie zmylił, gdyż pomiot i gałązki spotyka się względnie dość rzadko, więc między jednym i drugiemi, shikari niemal, że węchem iść musi. Wracać po tropach w razie zmylenia, to tyle czasu straconego, tyle mniej szansy, że się słonie dogoni!

Zapoznawszy was z klasycznym sposobem polowania na słonie, wrócę do przerwanego opowiadania. W nocy, z soboty na niedzielę, gdym spał w najlepsze, obudzono mnie wiadomością, że słonie są przy wodzie. Zerwałem się szybko z pościeli. Była godzina 1-sza w nocy: w obozie nikt nie spał, tak wiadomość ta wszystkich zelektryzowała. I rzeczywiście od strony jeziorka dochodziły dziwne głosy: raz było to przenikliwe trąbienie, o bardzo wysokim tonie, to znów bardzo niskie, basowe ryknięcie, które słoń prawdopodobnie gardłem wydaje. Słychać też było plusk wody, mimo, że dzieliła nas wiorstowa przestrzeń od wodopoju.

Po godzinie wszystko ucichło, więc poszliśmy spać na nowo. Gdy nad ranem o 5-tej wstałem, już hrabia nadciągał z zeriby i opowiedział mi, że próba z elektrycznym reflektorem nie udała się. Ów reflektor jest to spora latarka, którą, przy pomocy sprężynowej klamry umocowuje się od spodu, na przodzie lufy jakiejkolwiek strzelby. Izolowany drut posiada guzik, który myśliwy trzyma w lewej ręce pod lufami. Drut łączy się ze skrzynką, zawierającą akumulator elektryczny, naładowany na trzy miesiące. Skierowawszy lufy w żądanym kierunku, myśliwy naciska guzik, przez co wywołuje połączenie lampki z akumulatorem. Światło jest bardzo silne i zupełnie wystarczające do należytego wzięcia na cel zwierzyny. Przyrząd ten ma przedewszystkiem jedną, wielką wadę, a mianowicie, że go można używać jedynie na zasadzkach, gdyż ciężką skrzynkę z akumulatorem umieścić należy na ziemi. Okazało się też, wbrew twierdzeniu Edwarda Foa, który z podobnym aparatem jakoby na lwy polował, że zwierzyna światła się lęka. Oto, w jaki sposób hr. Potocki swój akumulator wypróbował.

Siedząc w zeribie przy osiołku, znudzony długiem wyczekiwaniem, zasnął, gdy go nagle shikari obudził w chwili, gdy pantera mordowała biednego długoucha. Hrabia skierował lufy w stronę walczących zwierząt, lecz zaledwie nacisnął guzik i silne światło oblało miejsce walki, gdy pantera, spłoszona widocznie tą niespodziewaną jasnością, umknęła w mgnieniu oka, zanim myśliwy miał czas zmierzyć się do niej. Następnie drapieżnik wracał jeszcze dwa razy. Hrabia próbował mierzyć się do niej po ciemku, bez użycia akumulatora, lecz oba razy przepłoszona pantera umykała jak oparzona. I tak noc przeszła bez możliwości dania strzału.

(D. c. n.).

(*Łowiec polski, Sztolcman*).



Nerwowość u myśliwych.

Ileż to razy każdy prawie z nas miał dni feralne w myśliwskich wycieczkach, t. j. dni, w których, pomimo wystrzelenia wielu ładunków, nic zabić nie mógł. Zabawnem istotnie conajmniej byłoby twierdzenie, z jakiem się często spotkać możemy u starych zabobonnych guślarzy pseudo-myśliwych, którzy utrzymują, iż potrafią „zadać“, t. j. tak zrobić, aby konkurent ich nic nie zastrzelił, (nb. nie mając poprzednio fuzyi naszej w rękach, gdyż wiadomo wielu doświadczonym myśliwym, że dostawszy broń do rąk, można ją bez pomocy żadnych narzędzi, ani nie gnąc luf, bezpowrotnie, — zepsuć). Gdybyśmy w skuteczność podobnego „zadawania“ zechcieli wierzyć, w takim razie „dzień feralny“ przypisywaćby należało wpływowi takiego pseudo-myśliwego. Lecz to są wszystko zabobony, w które żaden rozsądny człowiek uwierzyć nie może. A jednak czemubyśmy przypisali puste troki powracając z polowania, na którem wystrzelaliśmy, w zupełnie normalnych warunkach, kilka lub kilkanaście ładunków. Te, tak zwane „feralne dni“, w których myśliwy, (jak najlepszy strzelec) po wystrzelaniu wielu ładunków, zmitrężeniu znacznego czasu, a co najważniejsza, po zepsuciu sobie nie mało krwi, pusto wraca, — zdarzają się, na szczęście, dość rzadko. Wartoby istotnie zbadać przyczynę tej anomalii w praktyce łowieckiej. Sądzę, iż przyjdzie mi się tu spotkać z tysiącem przeróżnych zdań, w gruncie dość sprzecznych może, skutkiem bardzo trudnego bądź-co-bądź tematu zagadki. Istota tematu tego polega na tem, że często bardzo myśliwy, polując w tych samych, co zawsze warunkach, mając własną ręką zrobione i wypróbowane ładunki, będąc zdrowym na ciele i umyśle, strzelając z własnej, nikomu i nigdy nie pożyczanej flinty, jednem słowem, przy jaknajnormalniejszych okolicznościach dużo bardzo chybia. Mojem zdaniem, rozwiązania tej zagadki należy szukać w czysto psychicznym nastroju danego osobnika, z czego ten ostatni dokładnie zdać sobie sprawy nie jest w stanie, a tem samem nie wie, czemu tak fatalnie mu się wiedzie. Wiadomem jest, iż w naszym obecnym, nerwowym wieku — nerwami

tylko żyjemy, nerwy więc te, będąc czasami pod wpływem pewnego nienormalnego nastroju psychicznego, usposabiają myśliwego do chybiania, — one są więc istotnymi sprawcami naszego dnia feralnego! Nie ma chyba takiego myśliwego nawet z najstarszych, któremuby na widok jego wyżła, wystawiającego zwierzynę nie uderzyło silniej serce, nie zagrały żywiej nerwy, a po wyrwaniu się kuropatw, aby tenże myśliwy nie czuł znów silnego bicia pulsu, co jest bardzo naturalnym wynikiem podniecenia nerwów — do czego w znacznej mierze przyczynia się wrodzona neurastania t. j. wiekowa nerwowość. Myśliwi więcej niż inni ludzie są nerwowi z powodu ciągłego wystawiania nerwów na próby. Czy to przy polowaniu z wyżłem na kuropatwy, lub cietrzewie, czy też na łowach z nagonką, czy znów na czatach w budce, na grę cietrzewia, lub też przy wyczekiwaniu o szarej godzinie na łące, pod lasem sympatycznego chrapnięcia słonki, — we wszystkich wyżej przytoczonych i podobnych wypadkach nerwy szczególniej pracują. A cóż dopiero, gdy zmierzamy się w kniei do kilkocentnarowego odyńca, lub wspaniałego jelenia, jakże wtedy serce nam gwałtownie bije, mało nie wyskoczy z radości i niepewności zarazem, w jakim-ż wtedy stanie nadzwyczajnego podniecenia nerwy nasze się znajdują!

Reasumując wszystkie, powyżej przytoczone przezemnie przykłady, wyjęte z życia każdego z nas myśliwych, sądzę nie bez powodu, że zdarzający się czasem w praktyce naszej „feralny dzień“ słusznie nieszczęsnym nerwom przypisać należy. Zresztą upraszam bardzo swych kolegów, aby łaskawie nie odmówili nadesłania ku wspólnemu pożytkowi, kilku słów, w wyżej opisanej, dość interesującej kwestyi.

Stefan Ostrowski.



Jeszcze o ptakach „robiących świecę“ i o... bocianie.

W „Łowcu polskim“ kilkakrotnie poruszaną była kwestya zagadkowego rodzaju i kierunku lotu u ptaków, robiących t. z. świecę, t. j. postrzelonych i ciągnących po strzale w kierunku pionowym (w górę), a potem dopiero spadających jako nieżywe. Sądząc, że i czytelników „*Łowca*“ kwestya ta zarówno zająć może, pozwalam sobie na tem miejscu dorzucić słów kilka, w wyżej wymienionej sprawie. Wczoraj zastrzelone przezemnie 3 kuropatwy, mogą posłużyć, jako przyczynek do tej kwestyi. Jedna z kuropatw ciągnęła po strzale ze 40 kroków poziomo, potem wzniosła się na jakie 2 łokcie w górę, w kierunku prostopadłym, a zrobiwszy w powietrzu, właściwą postrzelonym ptakom ewolucyę, spadła nieżywa. Druga ciągnęła po strzale nieco dalej, nie zdradzając zupełnie postrzelenia, a potem wybiwszy się w górę na pół łokcia, spadła. Trzecia nakoniec, strzelana pod lasem również, zachowując się po strzale bardzo normalnie — przeleciała pomiędzy rzadko rosnącemi drzewami i przy wymijaniu jednego z nich, zawadziwszy o gałąź spadła. Przeprowadzone przezemnie na tych 3 kuropatwach (starych) oględziny, wykazały rany postrzałowe w kuprze, u każdej z zabitych kur. Nadmienić mi przytem wypada, iż strzelałem, z broni pożyczonej, ładunkami za słabymi, śrót więc wpadszy w kuper, nie zdołał silnie przeniknąć nawskroś ciała, i z tego powodu kuropatwy były tylko słabo postrzelone, śmierć jednak, o ile mi się zdaje, musiała spowodować krwotok naczyń krwionośnych, które choćby i płytkiem wtargnięciem śrótów w części organów, nawet nie bardzo ważnych, zostały uszkodzone. Odległość strzału do pierwszej z wyżej opisanych kuropatw mogła wynosić 50 kroków, do drugiej 35, a do trzeciej 25. Śrót N. 7 (sosnowicki). Byłoby pożądanem, aby i myśliwi galicyjscy łaskawie nadsyłali swoje zapatrywania i spostrzeżenia w tej bardzo interesującej ogół myśliwych kwestyi, mającej na celu wyświetlić co powoduje, raczej, jaka rana powoduje ptaka postrzelonego do robienia „świecy“? A teraz przechodząc z kolei rzeczy jeszcze do... bocianów, muszę nadmienić, iż tego roku, jak i w ogóle rokrocznie, widywałem bociany tępiące młode zajączki, a na wiosnę i jaja kuropatwie, sądziłem jednak, iż informować ogół myśliwych o tych smutnych nader faktach, byłoby już rzeczą zbyteczną, ponieważ wszyscy myśliwi aż nadto dobrze wiedzą, czem jest bocian dla łowiectwa; jedynie świeża odezwa i dyskusya pomiędzy „Warsz. Tow. Opieki nad zwierzętami“ wreszcie prasą warszawską, a „Tow. Myśliwskiem“ i prośba tego ostatniego, wystosowana do myśliwych, zniewala mię do napiętnowania, w poczuciu sprawiedliwości raz jeszcze tego laskonogiego rabusia. Nadmieniłbym tu jednak, iż niczem jak najwymowniejsze fakta i niezbite dowody stwierdzające szkodliwość rodu bocianiego, w obec bezzasadnego uprzedzenia i fałszywej opinii niekompetentnego ogółu, opierającego swą tolerancyę, a nawet hodowlę bocianów jedynie na tradycyi i lubiącego zwykle kontrować nam we wszystkiem. Co bo zresztą obchodzić może ogół niemyśliwych tak dalece kwestya ta??!! Jak się ludziom krzywda dzieje, na to ludzkość patrzy obojętnie, lecz złodziej wnet znajdzie opiekę ogółu, a nawet prawa. A w ogóle wszystkie te spory prasy z myśliwymi przypisać należy szczególnemu zamiłowaniu do sprzeczki. Niejeden z tych, co dziś silnie dzierżą sztandar z napisem „Ochraniać bociany“! w gruncie może przypisywać nam racyę, lecz ponieważ i drudzy krzyczą, to i on za nimi; w rzeczywistości zaś robi się zupełnie niepotrzebny alarm. Nie dziwię się chłopom, którzy zachowują ściśle tradycyę (najczęściej mając na celu naszą krzywdę) nie rozumieją bowiem i nie chcą zresztą zrozumieć, czem jest bocian, lecz ludzie inteligentni powinniby chyba inaczej zapatrywać się na tę kwestyę. Daj Boże! aby „Tow. racyonalnego polowania jaknajprędzej uzyskało to poparcie ze strony rządu, któryby odpowiednio wystosowanym cyrkularzem, raczej odezwą do gubernatorów następnie do naczelników, nakoniec do wójtów i strażników, zapobiegł tolerowaniu boćków. W obec tego musiałyby umilknąć głosy ogółu niemyśliwych, a sprawiedliwości stałoby się zadość, ku wielkiej uciesze naszej zwierzyny i myśliwych. Nie myślałem,

co prawda, powtarzam jeszcze raz, aby oprócz zgrai naszych cnych wieśniaków, z którymi po zabiciu bociana formalnie należy staczać batalię, podniósł głos przeciw nam ogół warszawskiej inteligencyi. Dziwne to zaiste. Życzę nakoniec, aby kwestya ta jaknajprędzej pomyślnym została uwieńczona skutkiem i aby spory zostały co rychlej zakończone!

Myśliwy z Królestwa Polskiego.



O psiej intelligencyi.

(Przekład z J. Turgeniewa).

Myśliwi chwalą się radzi swymi psami i często wynoszą ich przymioty, chwaląc się sami tym sposobem. Nie ulega wątpliwości, że między psami, tak jak między ludźmi, znajdują się stworzenia rozumne i głupie, więcej lub mniej obdarzone, a nawet zdarzają się geniusze i oryginały. Różnice w zdolnościach fizycznych i intelektualnych, w usposobieniu i temperamencie nie są odmienne od różnic, które obserwujemy u ludzi. Możemy twierdzić i to bez jakiejkolwiek przesady, że pies asymilował się człowiekowi w ciągu długiej, głęboko w dobę przedhistoryczną, sięgającej epoki, w której mieszkał z nim razem, że przyswoił sobie jego przymioty i wady. Jego pierwotna, przyrodzona organizacya zmieniła się zupełnie, a tak samo uległ zmianie jego wygląd zewnętrzny.

Pies stał się skłonniejszym do chorób, więcej nerwowym, skróciło się trwanie jego żywota; w zamian stał się więcej inteligentnym, pojętniejszym a zakres jego duchowego widokręgu rozszerzył się znacznie.

Zazdrość, namiętność — a zdolność do przyjaźni, rozpaczliwa odwaga, przywiązanie sięgające do zapomnienia o sobie — a haniebna tchórzliwość i niestałość, podejrzliwość, mściwość — a dobroduszność, złość, a prostota — wszystkie te własności, cnoty i wady objawiają się u psa, wypieszczonego cywilizacyą.

Lecz przestańmy filozofować, a przejdźmy do faktów. Jak każdy namiętny myśliwy, miałem wiele psów złych, dobrych i wyśmienitych. Raz miałem psa — czystego bzika; skończył w ten sposób, że wyskoczył oknem z czwartego piętra papierni. Najlepszy jednak pies, któregom w ogóle miał, byłto wielki samiec o długiej, czarnej sierci, z żółtemi łatkami.

Wołałem nań „Pegaz". Nabyłem go od leśniczego w okolicy Karlsruhe za 80 rubli (240 k.). Później ofiarowano mi zań często tysiąc franków.

Pegaz był duży pies o wełnistej sierci, z ogromną, pięknie ukształtowaną głową, miał duże niebieskie oczy i niezwykle roztropną a hardą fizyognomię. Nie był wcale czystej rasy; wydawał się mięszańcem angielskiego settera i niemieckiej owczarskiej suki: ogon jego był gruby, przednie łapy cokolwiek za mięsiste, tylne nieco słabe. Siłę miał nadzwyczajną a był junakiem co się zowie: dźwigał na swem sumieniu nie jedną psią duszę, że już nie wspomnę, o niezliczonej ilości nieboszczyków — kotów.

Przedewszystkiem przytoczę jego wady na polowaniu; nie są one liczne i łatwo je wyliczyć.

Nie znosił gorąca, a gdy nie było w pobliżu wody, popadał w stan ospałości, który znany jest każdemu myśliwemu.

Przy szukaniu był nieco opieszały, że jednak miał bajeczny wiatr, wyszukiwał zwierzynę częściej i prędzej, niż którykolwiek inny pies. Gdy stawał, budził powszechny podziw, a w kierunku tym nie zawiódł nigdy. Powszechną normą, przyjętą przez towarzyszy mych na łowach było, że gdzie Pegaz stanie, tam zwierzyna jest niewątpliwie. Nigdy się nie uganiał za lisami i zającami, nie mając jednak surowego, wzorowego, angielskiego wychowania, rwał zaraz po wystrzale, niewyczekując rozkazu, co stanowi wielką wadę. Ptaka poznawał po locie, a jeżeli śledząc zbarczonego ptaka wzrokiem, we właściwy sobie sposób podniósł łeb, było to widocznym znakiem, że go wyśledzi i przyniesie. Gdy był w pełnym rozwoju sił i przymiotów, nie potrafił mu ujść zbarczony ptak. Był podziwu godnym tropicielem „retrevier", jakiego sobie wyobrazić można. Trudno wyliczyć, ile wytropił bażantów, które szukały schronienia pośród chróstów, tak licznych w niemieckich lasach, niemniej kuropatw, które wypłaszał w odległości pół kilometra od miejsca, w którem zapadły, tak samo ułowił masę zajęcy, sarn i lisów. Często posyłałem go na trop w dwie, trzy a nawet cztery godziny po strzale. Wystarczyło mi powiedzieć, bez podnoszenia głosu: *Cherche perdu!* a już był w drodze, a po krótkim cwale, to w jedną, to w drugą stronę, odnalazł trop i gnał w kierunku zwierza — jedna lub dwie minuty upłynęły a zając lub sarna krzyczała ściśnięta jego zębami, lub też biegł ku mnie, z innym łupem w pysku.

Pewnego dnia, w czasie nagonki na zające, pies mój sprawił się tak wybornie, że rzeczywiście nie odważyłbym się tego opowiadać, gdybym nie miał tuzina świadków.

Polowanie miało się ku końcowi, a wszyscy myśliwi zgromadzili się na brzegu lasu. „Tu jest miejsce, w którem postrzeliłem zająca", rzekł jeden z nich, zwracając się ku mnie ze zwykłą prośbą, abym posłał Pegaza na trop. Nadmieniam, że prócz mego Pegaza, nie puściliśmy w czasie tej nagonki żadnego innego psa. W takich okolicznościach psy tylko przeszkadzają, niepokojąc swych panów i błędami swymi płoszą i odpędzają zwierzynę. Naganiacze trzymają swe psy na smyczy. Skoro tylko rozpoczęła się nagonka i rozległy się krzyki, mój Pegaz był jakby posąg: tamując oddech, patrzył bacznie w leśną gęstwinę i dźwigał powoli, to znów opuszczał uszy. Zwierzyna mogła skoczyć mu przed nosem, on tylko ruszył bokiem i oblizał się, nic więcej.

Pewnego razu przebiegł mu zając literalnie pomiędzy nogami... Pegaz ograniczył się na tem, że uczynił ruch, jak gdyby go chciał ukąsić.

Ale wracajmy do rzeczy. Zaledwie usłyszał mój rozkaz „*Cherche perdu*", pogonił jak szalony, a w kilka sekund później usłyszeliśmy krzyk dopadniętego zająca;

prawie w tym samym momencie mignęła elegancka sylwetka Pegaza, biegącego wprost na mnie.

Komukolwiek innemu — nigdy nie przyniósł zdobyczy.

Nagle, w oddaleniu odemnie około dwudziestu kroków, zatrzymuje się, kładzie zająca na ziemi i pędzi cwałem w kierunku, skąd przyleciał. Z największem podziwieniem spoglądaliśmy jeden na drugiego.

„Co to znaczy“? pytali mnie myśliwi. „Dlaczego nie przyniósł panu Pegaz zająca? Przecież zawsze przynosił“!

Nie wiedziałem co odpowiedzieć, gdyż nie pojmowałem sam całej sprawy.

Nagle dał się słyszeć w lesie drugi zajęczy krzyk — a Pegaz zjawił się z innym zającem w pysku.

Trzeba być samemu myśliwym, aby ocenić delikatny wiatr, inteligencyę i dar kombinacyjny psa, który, z dopiero co z ubitym, ciepłym zającem w pysku, z największą chyżością goni, widząc na 20 kroków przed sobą swego pana, a w tem drugiego postrzelonego zająca zwietrzy i wnet pozna, że wiatr zalatuje od innego zwierzęcia, a nie od tego, które dzierży w zębach.

Raz posłałem Pegaza za tropem postrzelonej sarny. Polowanie odbywało się na brzegu Renu.

Dobiegł do brzegu, zawrócił w lewo, to znowu w prawo, a skoro jak się zdaje wywnioskował, że sarna — jakkolwiek nie było tropu — zginąć nie mogła, rzucił się do wody, przepłynął odnogę Renu — Ren ma we wielkiem ks. badeńskiem kilka ramion — dostał się na małą, wierzbami porosłą wysepkę, znalazł sarnę i przyniósł.

Nigdy niezapomnę polowania w czasie zimy, w czarnolaskich górach. Wszędzie leżał wysoki śnieg, gęsta mgła napełniała powietrze i jakby zasłoną skryła przed okiem wszystkie przedmioty w około.

Sąsiad mój strzelił, a po ukończeniu nagonki powiedział mi, że strzelał do lisa i że go musiał trafić, gdyż lis machnął kitą. Posłaliśmy po tropie Pegaza, który wnet zniknął w otaczającej nas półciemności. Minęło pięć minut... dziesięć... kwadrans wreszcie... Pegaz nie wracał. Niewątpiliśmy, że lis był postrzelony, jeżeli bowiem zwierzyna nie była raniona, Pegaz wracał zawsze natychmiast. W końcu usłyszeliśmy przytłumione szczekanie, które zdawało się pochodzić z innego świata. Bezzwłocznie udaliśmy się w kierunku tego głosu, widzieliśmy bowiem, że ile razy Pegaz nie mógł owładnąć swą zdobyczą, zawsze ustawiał się przed nią i naszczekiwał. W kierunku rozlegającego się, wśród przestanków, urywanego echa jego niskiego basu, posuwaliśmy się naprzód, jakby we śnie, nie wiedząc którędyśmy stąpali. Pośród wilgotnej, chłodem przejmującej mgły — brodząc w śniegu po kolana, wspinaliśmy się na górę, spuszczaliśmy się w głębokie jamy, w których sypały się na nas szkliste igły, spadające z poruszonych gałęzi. Była to wprost droga, wyjęta z baśni o pielgrzymce na zaklętą górę. Każdy z nas wydawał się drugiemu jakby białem widmem, a wszystko w około nas wydawało się stekiem mamideł. Wreszcie ujrzeliśmy czarny przedmiot na dnie wąskiej, głębokiej jamy: był to Pegaz.

Przykucnąwszy, zwiesił pysk, a tuż przed jego nosem, wciśnięty między dwa granitowe kloce, leżał martwy lis. Nie mogąc się doń dostać, przywołał nas Pegaz szczekaniem na pomoc. Raz ukąsił lis Pegaza na polowaniu i to tak mocno, że mu pozostała blizna, nad prawem okiem, na całe życie. W sześć godzin po tym wypadku, gdy postrzelono lisa, Pegaz wytropił go żywego jeszcze i rozpoczął z nim walkę na życie i śmierć.

Przypominam sobie jeszcze jedno zdarzenie.

Zostałem zaproszony na łowy do Offenburga, miasteczka leżącego obok Badenu. Polowanie należało do stowarzyszenia paryskich sportsmenów; zwierzyny było mnóstwo, zwłaszcza bażantów. Wziąłem ze sobą Pegaza. Było nas razem piętnastu myśliwych, wielu miało wyborne psy i to po największej części, czystej, angielskiej rasy.

Przechodząc z jednego miotu w drugi, posuwaliśmy się w prostej linii, wzdłuż lasu; na lewo rozciągało się ogromne, puste pole, a w środku tegoż, około pięciuset kroków od nas, sterczała nieliczna gromada uschłych pni. Naraz Pegaz podniósł głowę, a szukając wiatru zdążał ostrożnie wprost ku owej gromadzie uschłych, ciasno obok siebie stojących, pni. Przystanąłem i wezwałem uczestników polowania, by zdążali za psem, byłem bowiem pewny, że coś zwietrzył.

Nadbiegła reszta psów; zaczęły się kręcić, wietrzyć po ziemi, obzierać — ale nic nie zwietrzyły, podczas gdy mój pies, nie troszcząc się o inne, szedł ciągle naprzód.

„Prawdopodobnie skrył się tam zając“ rzekł do mnie jeden Paryżanin.

Ale z wyglądu i z całego zachowania się mego psa poznałem, że to nie zając, to też wezwałem myśliwych, aby szli za mną.

„Wszak nasze psy nie wietrzą wcale“ zwracali moją uwagę wszyscy — zapewne myli się pański pies“.

Paryżanie nie znali jeszcze mego pieska.

Nie mówiąc nic, nabiłem strzelbę i kroczyłem za Pegazem, który od czasu do czasu, jakby ukradkiem, spoglądał na mnie przez ramię.

Wreszcie doszliśmy do gromady obumarłych drzew: myśliwi stanęli w pewnem oddaleniu i spoglądali na mnie. No, Pegazie, pomyślałem, byłaby to hańba nie lada, gdybyśmy mieli stąd odejść z próżnemi rękoma. Ale w tej chwili zerwało się z głośnym krzykiem około dziesięć bażantów, z których ku wielkiej swej uciesze ubiłem dwa — co mi się nie często zdarza, jako miernemu myśliwemu.

„Widzicie teraz, panowie Paryżanie, jak wyglądają wasze rasowe psy“. Z temi słowy wróciłem do towarzystwa, trzymając w ręku ubite bażanty. I Pegaza i mnie obsypano komplimentami. Moje oblicze jaśniało prawdopodobnie radością, Pegaz natomiast niedbający w skromności swej o pochwały — nawet się nie pysznił.

Bez przesady mogę twierdzić, że Pegaz wietrzył kuropatwy na sto, a nawet dwieście kroków. Jego ociężały poniekąd sposób szukania — był podziwu godnym: była to akcya prawdziwego stratega.

Nigdy nie zwieszał łba, nigdy nie wietrzył przy łapach, nigdy w prosty sposób, nie wodził nosem po ziemi — wietrzył zawsze nosem wysoko podniesionym, uprawiał łowiectwo, jak się wyrażają Francuzi *„dans le grand style, la grande manière.*

Na polowaniu nie ruszałem się z miejsca, wystarczyło, gdym nań rzucił okiem. Doznawałem zawsze

wielkiej uciechy, polując z myśliwymi, którzy nieznali jeszcze Pegaza: nie minęło i pół godziny, a już słychać było okrzyki: „To mi pies"! To prawdziwy profesor!

Nie potrzebowałem nigdy ust otwierać, mrugnięcie okiem wystarczało, by mię zrozumiał. Inteligencya jego była nadzwyczajna.

Jednego dnia zginął mi w Karlsruhe, gdzie przepędzałem zimę, lecz już po czterech godzinach zjawił się w Baden-Baden i odszukał mię w mem dawniejszem mieszkaniu. Następujący przykład niech świadczy, jaką Pegaz miał głowę:

W okolicy Baden-Baden pokąsał wściekły pies człowieka, skutkiem czego wydał urząd policyjny zarządzenie, by wszystkie psy, bez wyjątku, zaopatrzyć w kagańce. Przepisów tych przestrzegają w Niemczech z całą surowością — toteż i biedny Pegaz otrzymał kaganiec. Sprawiało mu to wielką przykrość; żalił się ustawicznie t. j. siadał naprzeciw mnie i bądź to szczekał i skomlił, bądź to łapę podawał, lecz wszystko na darmo, bo musiał kaganiec nosić.

Raz przyszła do mnie gospodyni z zawiadomieniem, że Pegaz dzień przedtem zdjął kaganiec i że go zagrzebał. Nie chciałem wierzyć, lecz za kilka minut pojawiła się powtórnie, szepcąc, bym poszedł za nią.

Poszedłem na schodki przed domem i cóż zobaczyłem! Pokryjomu kroczył Pegaz po podwórzu, zaledwie palcami tykając ziemi, z kagańcem w zębach. Wszedłszy do szopy, zaczął w kącie wygrzebywać łapami ziemię — a wygrzebawszy dostateczną jamę, umieścił w niej kaganiec i troskliwie przysypał go ziemią. Bezwątpienia myślał, że tym sposobem uwolni się, raz na zawsze, od znienawidzonego kagańca.

Jak prawie wszystkie psy, nie był rad żebrakom, nie znosił również indywiduów, licho odzianych, dzieciom natomiast i kobietom nigdy nie wyrządził nic złego. W szczególności nie dopuścił, by ktokolwiek wyniósł co z domu. Widząc, że ktoś niósł cokolwiek na plecach, lub w ręku, nabierał podejrzenia — a wtedy biada była inekspimablom podejrzanego a w następstwie i mojej sakiewce.

Czujność jego kosztowała mnie drogo!

Jednego dnia usłyszałem z obejścia wołanie o pomoc. Widzę za furtką nędznie odzianego człowieka, w poszarpanych spodniach. Przed furtką stoi Pegaz w zwycięskiej pozie. Poszkodowany głośno krzycząc, żali się na psa... Na szczęście, wyjaśnili mi kamieniarze, pracujący po drugiej stronie ulicy, wśród głośnego śmiechu, całą sprawę: Pegaz rzucił się na tego człowieka, widząc, że urwał jabłko z zagrody.

W rzeczywistości był szorstkiego usposobienia, poniekąd nawet dziki, do mnie atoli był tkliwie przywiązany.

Matka Pegaza była ongi znakomitym psem, lecz również dzikim; nie przychlebiała się nawet swemu panu. Bracia i siostry celowali przymiotami, lecz żaden z licznych potomków nie mógł się mierzyć z Pegazem. W roku 1870 był to jeszcze wyborny pies, jakkolwiek bardzo już zmęczony, ale w r. 1871 zaszła w nim wielka zmiana. Zdaje mi się, że dostał rozmiękczenia mózgu; inteligencya go opuściła, jakkolwiek się nie postarzał, miał bowiem dopiero 9 lat. Z wielką boleścią widziałem, jak niedołężniał stopniowo, ten śliczny pies. Na polowaniu, bądź spoglądał bez celu na zwierzynę, bądź zwiesiwszy ogon i głowę biegł w prostej linii przed siebie, bądź wreszcie przystawał i patrzył na mnie wytężonym, tępym zwrokiem, jakby zapytywał: Co się też ze mną dzieje?

Sic transit gloria mundi! Żyje jeszcze u mnie na łaskawym chlebie, ale to już tylko nędzna ruina z dawnego Pegaza.

Pełen smutku rozłączyłem się z nim. „Z Bogiem mój niedorówny piesku"! pomyślałem w duchu. „Nie znajdę nigdy takiego przyjaciela, to też na zawsze zachowam cię w pamięci"!



Jeszcze nieco o broni małokalibrowej.

W różnych państwach używanych jest dzisiaj ośm gatunków karabinów i pocisków o małym kalibrze i tak w Austro-Węgrzech 8 mm, (Manlicher) w Niemczech 7·9 mm, we Francyi 8 mm (Lebel) w Rosyi 7.62 mm, we Włoszech 6·5 mm. w Anglii 7·696 mm, (Lee Metford) w północnej Ameryce 6 mm i w Japonii 8 mm (Muratoi). Co do siły przebijania, celności razancyi i dalekonośności nie różnią się wiele od siebie wspomniane rodzaje broni, najmniej zaś różnią się co do siły przebijania na mniejsze odległości. Według opisów Vergilego i Ovidiusza, ołowiany koniec strzały pomysłu Arystotelesa, rozgrzewał się w locie do tego stopnia, że topił się, a że w wiekach średnich wiadomości wszelkie czerpano przeważnie z klasyków starożytności, mniemanie to, o pocisku, wyrzucanym za pomocą prochu powszechnie się utrzymało z tego już względu, że pocisk taki z daleko większą od strzały posuwał się szybkością.

Dopiero Francuz Ambroise, Anglik Gale i Włoch Maggi przez różne doświadczenia przyszli do przekonania, że ogrzewanie się pocisku w biegu i działanie tego ogrzania na trafiony przedmiot, jest bardzo nieznaczne. To nic nie pomogło. Wierzono w to dalej święcie.

Pirogaff utrzymuje n. p., że pocisk przechodzi przez ciało, jak rozpalone żelazo, Velpeau porównał jego działanie, do pchnięcia kawałkiem rozpalonego żelaza.

Ogrzanie się pocisku i jedo deformacya są ze sobą ściśle połączone.

Ogrzanie się pocisku przez zetknięcie z gorącymi gazami, wytworzonymi ze spalenia się materyi wybuchowej, jest bardzo nieznaczne, raz że to zetknięcie się trwa niezmiernie krótki czas (temperatura przy prochu czarnym, jest wyższą niż przy prochu bezdymnym), a powtóre gazy działają tylko na podstawę pocisku.

Daleko więcej do rozgrzania się pocisku, przyczynia się tarcie tegoż o ściany rury, do przebiegnięcia zaś tej drogi potrzebuje pocisk 1/1000 część sekundy.

Inaczej ma się rzecz, gdy repetujemy i strzelamy raz po raz kilkanaście razy. Wtedy pocisk wraz z ładunkiem włożony do lufy, już w komorze nabojowej, coraz bardziej przez gazy gorące ogrzewanej, znajduje się przez stosunkowo dość długi przeciąg czasu i odbiera jej znaczną ilość ciepła.

Jak wspomniałem już, proch czarny spalając się, posiada wyższą temperaturę i więcej ciepła naturalnie oddaje lufie.

Robione w Danii próby wykazały to niezbicie.

Po oddaniu 20 strzałów, po sobie, przy użyciu prochu czarnego, temperatura lufy podniosła się do 129° C.

Przy oddaniu zaś tej samej ilości strzałów, w tym samym przeciągu czasu, prochem bezdymnym, tylko do 102° C.

Po oddaniu 120 strzałów, był stosunek 267° C do 245° C.

Na ogrzanie jednak lufy ma także znaczny wpływ tak kształt, jak i gatunek pocisku. Głównie jednak rozgrzewa się lufa, przez gorące gazy. Im wyższa jednak temperatura lufy, tem raźniejsze też i promieniowanie ciepła i oddawanie tegoż na otaczające ją medya.

Przez ogrzanie się wewnętrznej strony lufy, powstaje także więcej punktów stykających się z pociskiem w czasie jego przejścia i zwiększenie tarcia. Przeto i oddawanie cieplika lufy pociskowi w szybszem następuje tempie. Co się tyczy stopnia ciepłoty pocisku, który tenże otrzymuje wskutek tarcia o lufę, różne są zapatrywania.

Próby robione w niemieckiem ministeryum wojny, wykazały, że pocisk przebiegając przez lufę, ogrzewa się nie ponad 70° C. Przy oddaniu jednak 100 strzałów w przeciągu 2½ minut, ołów przytykający do ścian płaszcza stalowego topił się, w tym więc wypadku temperatura wynosić musiała 344° C.

Wskutek prucia powietrza, ogrzewa się pocisk w dalszym ciągu najsilniej w pierwszych 100 metrach, i to nie wszędzie równocześnie, najsilniej ogrzewa się prujący powietrze szpic pocisku.

Czy jednak pocisk wśród biegu przez powietrze, więcej wskutek tarcia o nie nabiera ciepła, niż mu przez promieniowanie oddaje, to pytanie pozostaje jeszcze bez odpowiedzi.

Chodzi o to, by mieć pewność, jak wysoką jest temperatura pocisku w chwili, gdy tenże wpada w dany przedmiot.

Próby robione z pociskiem, o pełnym płaszczu wykazały: przy 50 m. odległości 136° C — 159° C, przy 200 m. około 137° C, przy 800 m. 70° C. Z tego wynika, że temperatura pocisku przy wejściu w zwierza, rzadko tylko wynosi, względnie przechodzi 159° C, od której do punktu stopienia się ołowiu jeszcze daleko.

Co się tyczy deformacyi pocisku, o pełnym płaszczu, przy uderzeniu tegoż o kość, procent waha się od 7·2—17·9. Główne powody deformacyi tego pocisku leżą w jego ciepłocie i różnorodności drgań tegoż, w różnych punktach równocześnie, w chwili, gdy pocisk doznaje przeszkody w biegu, t. j. gdy trafia.

Różnorodność drgań w różnych punktach pocisków, jest bardzo ważnym powodem. Ponieważ płaszcz stalowy nie tworzy z ołowiem jednolitej masy, lecz tylko mechanicznie do siebie przylegają, przeto w momencie uderzenia w przedmiot pocisku, gdy płaszcz stalowy zostaje wstrzymany w ruchu, ołów stara się dalej wirować, a różnica tych wirowań powoduje nieraz zupełne odłączenie się ołowiu od płaszcza i bardzo często pęknięcie płaszcza.

Przy uderzeniu jednak pocisku, w części zupełnie miękkie, jak mięso, glina, wosk, nie ma tej deformacyi.

Zmniejszenie przekroju i zwiększenie szybkości pocisku, bardzo znacznie podniosły siłę przebijania, jednakże stosunek wtłoczenia się pocisku ze zwiększoną odległością o wiele szybciej się zmniejsza, niż przy pocisku o większym przekroju i im mniejszą jest odległość, tem większą jest różnica siły przebicia, tych dwóch gatunków pocisków. Jestto z tego względu ważną okolicznością, że na dalsze odległości pocisk małego kalibru gorzej działa od pocisku, o większym przekroju.

Z broni małego kalibru trafione zwierzęta, często nawet nie czują tego.

W Rumunii robiono próby strzelania do koni w biegu. Trafione zwierzęta nawet się nie zatrzymywały w biegu. Konie pasące się spokojnie, trafione, nie przestawały skubać trawy. W Hiszpanii do pędzonych przez wąwóz osłów, oddano salwę z 7 milimetrowych karabinów; żadne zwierzę nie zatrzymało się ani cofnęło.

Według porucznika O' Brien, który odbył wojnę chińsko-japońską, kule z broni małokalibrowej, tylko wtedy zabijały, jeżeli naruszyły mózg, serce, lub główne arterye.

Po bitwie pod Krügersdorf, w Tranwaalu, po krótkim czasie wyleczono żołnierza, któremu pocisk przeszedł przez śledzionę. Inny znów żołnierz, któremu kula rozpruła czaszkę, nie naruszając mózgu, po roku wyzdrowiał zupełnie. Jeden znów, któremu pocisk przeszedł o 4 mm ponad sercem, po 7 dniach był zupełnie zdrów. Kawalerzysta dostał postrzał w nogę, przyczem i kość została naruszoną, mimo tego jechał dalej do ataku. Stévens opowiada, że żołnierz z przestrzelonem płucem, nie leżał ani godziny.

Statystyczne dane wykazują, że wszelkie wojny prowadzone dawniej, gdy używano pocisków wielkich kalibrów, miały daleko większy procent śmiertelności, niż prowadzone w nowych czasach. W wojnach n. p. Napoleońskich procent ten wynosił 21%, we wojnie włoskiej 1848/49 również tyle.

Przyczyna polega w tem, że pocisk wielkiego kalibru, przechodząc przez zupełnie to samo miejsce, co pocisk mniejszego kalibru, robi o wiele większy otwór i niszcząc przez to więcej tkanek, większe czyni spustoszenia.

Dalej, pocisk bez płaszcza deformuje się daleko łatwiej, przez co znów robi się większym, przytem pocisk dużego kalibru na odległość 250 m. prawie nigdy zwierza na wskróś nie przechodzi (z Manlichera na 2000 m. pocisk zawsze przechodzi jeszcze), przez co naturalnie i całą siłę uderzenia pozostawia w trafionym zwierzu, co jest niezmiernie ważną okolicznością, ze względu na śmiertelność strzału.

Pocisk z małokalibrowej broni, robi, przechodząc mniejszy kanał, także mniejszą powierzchnię rany, a im większą jest powierzchnia rany tem prędzej następuje śmierć.

Pociski, o wolnym od płaszcza końcu, wydrążone, wyrzucone z Manlichera, są straszliwymi pociskami.

Fałszywem jest jednak, co zdarzyło mi się u kilku pp. myśliwych widzieć, zatykanie tego otworu woskiem, lub stearyną. Pocisk bowiem prując z kolosalną szybkością powietrze, nabiera w otwór ten coraz większą ilość powietrza, tak, że ciśnienie tegoż w tem zagłębieniu wynosi kilkanaście atmosfer. W chwili, gdy wpada w ciało, stara się nabrać w siebie także i napotkane po drodze cząstki stałe, jak tkanki, krew, wtedy ciśnienie przybiera nagle, ołów nie wytrzymuje tego ciśnienia i pęka. Wypełniony zaś stearyną, lub woskiem, deformuje się również, ale daleko mniej.

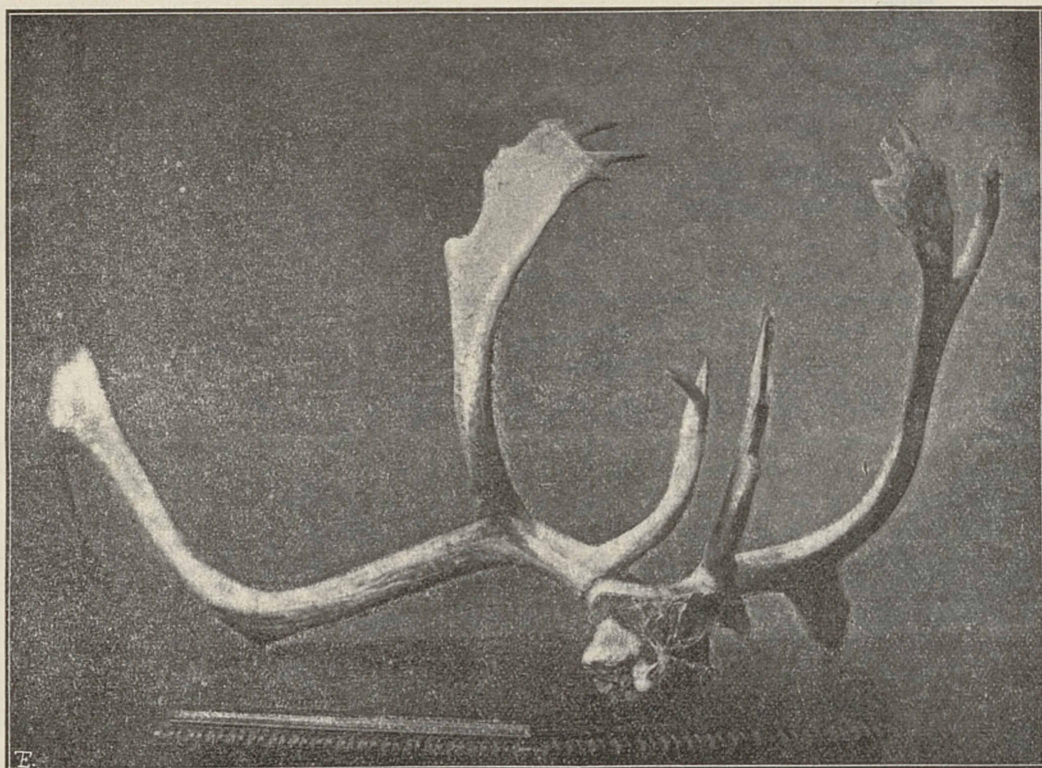
Podczas mego pobytu w Indyach, na wyspie Sumatrze, Jawie, miałem sposobność być cztery razy na polowaniach z obławą na tygrysy. Wszyscy mieliśmy jednak sztućce, o dużych kalibrach. W ogóle z Manlicherem rzadko się tam spotkać można. Wszyscy z doświadczenia wiedzą, że zwierz trafiony większą kulą, prędzej pada.

drzewo i stamtąd wypalił siedm razy do zwierza, starającego się obalić drzewo, z karabinu systemu Mausera. Wszystkie kule przeszły na wylot, bez widocznego zainteresowania się niemi zwierza, dopiero siódmy strzał w głowę, przebiwszy mózg powalił go.

W Penang pokazywano mi kule, robione do gładkich luf cal. 16 i 14, używane tamże i w Bengalu do polowań na tygrysy. Kule te mają formę podługowatą, a na końcu kuli zakręcony jest, silnie, z bardzo twardego drzewa, zrobiony czopek.

Pociski te mają być straszliwe w działaniu, sam jednak, nie miałem sposobności przekonania się o tem.

Z kilkunastu zabitych przezemnie w ostatnim roku z karabinka „Winchester" M. 97, Cal. 44 rogaczy, na odległość od 80—200 kroków, ani jeden nie poszedł i dwóch kroków po strzale. Na 11 lisów, tylko jeden trafiony w brzuch, powlókł się jeszcze 20 kroków, za-



Rogi jelenia jaskiniowego.

wydobyte, z Sanu w Hurku, w pow. przemyskim, a znajdujące się w zbiorach Józefa Skarbka Borowskiego w Hurku.

Ja sam polowałem tam, tylko z Winchestrem na grubego zwierza (do słoni i nosorożców nie strzelałem), a z dubeltówki cal. 12 strzelałem lutony i ptactwo. Zabiłem jednego tygrysa z ganku mojego mieszkania. Strzeliłem do niego na 45 kroków, ulokowawszy mu kulę w krzyżu ponad łopatkami. Z dwóch panter zabitych przezemnie, jedną powaliłem strzałem w łeb, drugą strzałem w krzyż.

Krokodyle wylęgające się w błocie, na które często w wolnych chwilach polowaliśmy, trafione z Manlichera zawsze zdołały jeszcze przebyć kilkadziesiąt, dzielących je od wody kroków i schować się w wodę, podczas gdy trafione kulą z większego kalibru zawsze dostawaliśmy, gdyż po kilku krokach zostawały bez ruchu.

Widziałem zabitego przez p. Pl...e Holendra nosorożca. Przed atakującym go zwierzem uciekł p P. na

jące, koty, psy, trafione gdziekolwiekbądź, rulowały w ogniu.

Znam zaś liczne wypadki, gdzie dziki trafiane z Manlichera, nie zaznaczały nawet strzału, choć bardzo pięknie trafione i szły jeszcze światami, dopiero później w innych rewirach znalezione zostały.

P. W. w Hawłowicach strzelił do rogacza z Manlichera. Rogacz padł na miejscu. Gdy jednak podjechano by go zabrać, zerwał się i uciekł, mimo tego, iż ze łba krew silnie broczyła.

W ogóle do polowań u nas w Galicyi zdają mi się daleko racyonalniejsze kule do ekspresów większych kalibrów, bez płaszcza, z przyciętym końcem, tembardziej, że strzał ponad 200 kroków bez lunety nigdy nie może być stanowczo pewny, a powtóre, że bardzo rzadko, chyba na polowaniach na kozice w górach, musimy koniecznie strzelić na dalszą odległość, następnie

zaś i z tego powodu, że daleko dłużej będzie celnie strzelał ekspres, do którego używa się kul bez płaszcza, niżeli n. p. Manlicher, który po oddaniu kilkuset strzałów, zupełnie inne, gorsze wykazuje rezultaty, niż w chwili, gdy był zupełnie nowy, a potem znów i ze względu na koszt, gdyż powszechnie wiadomo, o ile tańszymi są ładunki do zwykłych ekspresów od ładunków do Manlichera, a dalej, że u nas po prostu nie ma zwierzyny, któraby potrzebowała, tak straszliwych pocisków, jak kule dum-dum.

Myślatycze 20 września 1901.

Kalikst Rawicz Dembiński.



OKAPI.

Zoologia zbogaciła się niedawno nowem, nieznanem dotychczas zwierzęciem, odkrytem w centralnej Afryce, nad rzeką Semliką, łączącą jeziora Alberta-Edwarda i Alberta-Nyanza a stanowiącą naturalną granicę między angielskiemi posiadłościami w Afryce wschodniej (Ugandzie), a wolnem państwem Kongo. Ciągną się tam dziewicze lasy na przestrzeni około 20.000 kwad. km. W lasy te słońce prawie nie przenika; nawet w dzień. W tej do dzikiej, leśnej głuszy, żyje również dzikie plemię karzełków: Akka.



Gdy Stanley w czasie swej, drugiej z rzędu podróży do Afryki dostał się w te debry, słyszał od miejscowej ludności o jakiemś rzadkiem, pręgowanem zwierzęciu, tego wzrostu co koń, podobnem po części do zebry, lecz nie udało mu się nie tylko dostać, lecz nawet zobaczyć to zwierzę.

Szczęśliwszym był Harry Johnston, angielski gubernator Ugandy, którzy otrzymał od angielskiego oficera dwie pstrokate skóry, zupełnie nieuszkodzone wraz z kopytami i dwie czaszki tego nieznanego zwierzęcia. Johston odesłał te skóry znanemu angielskiemu przyrodnikowi, Sclaterowi, który uznał w zwierzęciu, nowy odrębny gatunek, stojący nabliżej żyrafy. Zwierzę to nazwał Sclater, na cześć Johnstona „okapi Johnstona“. Jest ono o jedną trzecią część mniejsze od żyrafy. Mierzy od głowy do ogona 2·25 m. na wysokość zaś 1·80 m. Sierć na okapi jest krótka i gładka, jak u konia, szyja, koniec pyska i wierzch głowy ciemno-bronzowe, pysk zresztą biały, a każdą ze szczęk przebiega rudo-czerwona pręga. Johnston polegając na podaniach krajowców, liczy liczbę tych zwierząt na 2—3 tysięcy.

Żywią się liśćmi i gałązkami drzew, które chwytają górną, nieco wydłużoną wargą.



Korespondencye.

Wierzchosławice, 4. października 1901.

Niniejszem mam zaszczyt donieść, iż 2 b. m. w lasach Wierzchosławice, należących do dóbr J. O. księcia Sanguszki, tamtejszy leśniczy p. Sławiński, zastrzelił jelenia, który ważył 120 kg.

Nadmieniam przytem, iż w lasach tutejszych, okaz jelenia jest nigdy niebywały.

Leśnictwo Wierzchosławice.

Nuszcze, w październiku 1901.

Gdy na jelenie zjechali się Pany,
My choć z zajączkami pójdziem sobie w tany.
I kochane słonki dodadzą uroku,
Gdy ich tyla będzie, jak łońskiego roku.
Także kuropatwy radością nas napawały,
Gdy się z pod nóg naszych co chwila zrywały.
Na ród sarni także narzekać nie można
Bo się co rok lepiej u nas rozwielmożnia,
Tylko szelmy dziki, często mi krew psują,
Bo mi kultury kompletnie rujnują.
Ale nasz mykita coś nie dopisuje,
Może u sąsiada bażantów pilnuje?
Uważaj mykito, bo u sąsiada,
Za pieczeń bażancią czeka cię zagłada.

Na rok ten, jak się dotychczas mogłem przekonać, może narzekać nie będziemy, wszystkiego jest po trochu. Za dużo wprawdzie nie ma zajęcy, jakby być powinno, sądzę, że to letnie słoty i ulewy, trochę ofiar zabrały. Z sarnami także jako tako, w zimie prawie żadna sztuka nie padła.

Ale dzików się namnożyło tak, że w dwóch rewirach kultury i linie poburzone kompletnie.

Nie wiem, gdzie się słonki podziały, wprawdzie z początkiem września pokazało się kilka (jedną zabiłem 7-go września), a teraz wcale ich nie ma.

Kuropatw chwała Bogu tego roku, jest dosyć, aż się dusza radowała, gdy się stadka kuropatw w każdej miejscowości znajdowało. Ale są myśliwi, że jak co jest, to jak mówią, bij do nogi. Ba, żeby to sami urządzali, ale znam jedną miejscowość, że gajowych biorą do pomocy, którzy naturalnie o granice nie dbają i gniotą te biedne stworzenia, nie tylko na swojem, ale i na cudzem terytoryum.

Na razie poprzestanę na wzmiance, ale gdy tak dalej będzie, to po imieniu opiszę. Nie wiem, jak kogo, ale mnie do najwyższego stopnia to oburza, jak ktoś zaprawia gajowych do strzelania łownej zwierzyny, proszę co to za przyjemność? Czy dobremu myśliwemu, o mięso chodzi? Narzekamy potem na kłusowników, a takiem postępowaniem stwarza się doborowy zastęp.

A. Korpak, leśnik.

Tarnów, 10 listopada 1901.

„Wyszedł na gruszkę, kopać pietruszkę“ — polskie przysłowie na określenie nieprawdopodobieństwa — ale poszedł na kaczki, a strzelił jelenia — to nie do uwierzenia, a przecież prawdziwe.

Dnia 2 października 1901 leśniczy lasów Wierzchosławice, należących do ks. Eustachego Sanguszki, p. Sławiński wybrał się na rozległe, wśród lasów położone stawy, celem polowania na kaczki. Jakież było jego zdziwienie, gdy zamiast kaczki zastał w szuwarach, rzadkiego w tych stronach gościa, pod postacią jelenia. Nie namyślając się wiele — wypalił na 20 kroków do stojącego i gapiącego się na psa zwierza i śrótem Nr. 6. w szyję, powalił ogłupiałego jelenia na miejscu. Był to 5—6 letni byk o ładnych rogach — wagi 84 kg. po wypatroszeniu. Jak to już w roku zeszłym wspomniałem, w mej korespondencyi z tut. powiatu — plątała się w r. 1900 w tutejszej okolicy para rosłych jeleni, z których krowę ubili kłusownicy na łąkach, a jelenia ktoś z personalu leśnego w Czarnej, powiatu pilzneńskiego w czasie ochronnym, bo w styczniu.

W bieżącym roku zabłąkał się tutaj, strzelony dnia 2 b. m. jeleń szukając kochanki, a gdy gorące serce i pałająca żądza zawiodły go dla ochłody na staw — znalazł tam grobowiec wspólnie z kaczkami.

Jeleń ten przywędrował prawdopodobnie z Mokrzyszowa, koło Tarnobrzegu, gdzie znajduje się ich około 50 sztuk, albo wymknąwszy się ze zwierzyńca Państwa Dembickiego podczas rykowiska, poszedł zalecać się do ciotecznych sióstr — sarn, których w Wierzchosławicach i sąsiednich lasach Radłowskich znajduje się mnóstwo. Dwukrotny wylew Dunajca w czerwcu b. r. i wylew Biały — okropnie dzikiej rzeki, tylko częściowo uregulowanej, wytopiły mnóstwo zajęcy, sarn i kuropatw, które w kępach znajdują cały rok schronienie — to też w tych miejscowościach nie ma zwierzyny. Za to na gruntach piaskowych od granicy powiatu Dąbrowskiego stan zajęcy i kuropatw większy niż w roku 1900, a dowodem tego jest ta okoliczność, że jeden dobry myśliwy z psem nie od parady, mógł w jednym dniu zastrzelić 60 kuropatw i spotkać 30 zajęcy przy tej sposobności.

Jedno tylko zostaje życzenie: wzruszyć choćby ciśnieniem kilku atmosfer c. k. władzę polityczną, aby kłusowników i publiczność kupującą od nich zwierzynę oddawała pod lepszą niż dotąd opiekę c. k. żandameryi.

Dr. E. W.



Kronika.

Myśliwskie naboje Wöllersdorfera, o bezdymnym prochu. Biuro prezydyalne c. i k. ministerstwa wojny uprasza nas o zamieszczenie następującej notatki:

W obec nadzwyczaj ożywionego popytu za tymi nabojami, tudzież w obec utyskiwań, objawionych kilkakrotnie na trudności, nastręczające się przy ich nabyciu, czuje się Zarząd monopolu prochowego spowodowany do zwrócenia uwagi kół interesowanych, że;

Naboje myśliwskie, wyrabiane nakładem c. k. skarbu, można nabywać we wszystkich większych miejscowościach monarchii, u upoważnionych do tego sprzedawców prochu, w oryginalnem opakowaniu, po taryfowych, jednotliwie dla całego obszaru monopolowego ustanowionych cenach.

Sprzedawcy zaopatrują się w zapasy tych nabojów w najbliższych składach przyborów artyleryi, mogą zatem w krótkim czasie wykonać zamówienia na te rodzaje nabojów, którychby im kiedykolwiek, chwilowo zabrakło.

Zamawiający, chcąc się upewnić, że otrzyma właściwy gatunek prochu, winien uczynić zadość następującym wymogom:

Podać dokładnie, czy żąda nabojów o zwyczajnej dawce prochu (*rothe Hülse*), czy też o wzmocnionej (*blaue Hülse*) następnie, czy naboje te mają mieć normalny, czy też zwyczajny otok (*Rand*).

Naboje myśliwskie Wöllersdorfera, wyrabiane pod ścisłą kontrolą, są do nabycia w kartonach po 10 sztuk; sprzedaż ich nie odbywa się inaczej, jak tylko w nienaruszalnem, w obec urzędu dokonanem, oryginalnem opakowaniu. Taryfę cen można przejrzeć u licencyonowanych sprzedawców prochu; w taryfie tej są również uwidocznione rozmaite, w miarę potrzeby, używane dawki prochu.

Oswojona wydra. Jeden ze współpracowników „*Country Life*“ przytacza interesujące szczegóły o oswojonej wydrze. Pojmano zwierzę całkiem małe, gdyż miało najwięcej kilka tygodni, gdy je znaleziono w macierzyńskiem gnieździe. Zachodziła kwestya, czy da się wychować; zwierzątko to było w każdym razie pozbawione wszelkiej bojaźliwości. Dawano mu mieszaninę z mleka i letniej ocukrzonej wody, co mu bardzo smakowało.

W ten sposób żywiono przez kilka tygodni wydrę, która zdawała się szczególną wagę przywiązywać do pewnej temperatury, podawanego jej mleka; nie przyjmowała go, gdy było cokolwiek za ciepłe lub za chłodne.

Po pewnym czasie podawano jej, prócz tego mleka, dwa razy na dzień, drobno posiekane, surowe mięso; to mięsne pożywienie zdawało się wywierać na zwierzęciu wrażenie podbudzające, gdyż po spożyciu takiej uczty było skłonne kąsać każdego, chcącego go dotknąć.

Obok tego otrzymywała wydra równocześnie na spodeczku mleko jako napój, zaś jako stałe przysmaki do oceny: żaby i glisty. O ile chodzi o spostrzeżenia z dziedziny psychologii, należy zaznaczyć, że wydra ta — z wyjątkiem dla swego pana — nie objawia sympatyi w obec mężczyzn, przenosząc towarzystwo pań.

Chodzi za domownikami, jak pies i wedle upodobania wędruje po całem domostwie. Wymyśliła sobie genialną metodę zsuwania się po schodach: umieszcza się na trenie sukni swej pani i w ten sposób zjeżdża, doznając wstrząśnień na każdym stopniu. Zwierzę ma widoczną skłonność do posługiwania się zębami; czyni to jednak więcej ku zabawie, niż

w chęci ugryzienia złośliwego; zna dobrze swą nazwę i biegnie, gdy na nie wołają.

Rozumie się, że wysoko ocenia przysługę, wyrządzoną przez postawienie jej sadzawki do dyspozycyi, lecz ciekawym był wstręt do wody, który zwierzę to objawiało przez dłuższy czas.



Tych pp. Członków, którzy dotychczas nieuiścili wkładek, prosimy usilnie o ich nadesłanie i o zaoszczędzenie sekretaryatowi Towarzystwa pracy, jaką stanowi urgowanie zalegających z opłatami pp. Członków. każdego z osobna. Czas na to stracony, mógłby być użyty w interesie Towarzystwa. ***Wydział.***

DROBNE OGŁOSZENIA.

(po 1½ ct. od wyrazu).

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**